Nr. 4. Lwów, 15. lutego 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Nowi Członkowie Towarzystwa.

Z wielką przyjemnością spieszymy zawiadomić naszych Czytelników, że **Jego ces. i król. Wysokość Najdostojniejszy Arcyksiążę Karol Stefan,** właściciel rozległego Żywieckiego Państwa, wraz z synem swoim, **Arcyksięciem Karolem Albrechtem,** raczyli najłaskawiej zapisać się w poczet członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego.

Z wyrazem głębokiej czci pozwalamy sobie na tem miejscu imieniem Towarzystwa powitać Najdostojniejszych Arcyksiążąt w naszem gronie.

Chlubny dla nas fakt, że Członkowie Rodziny najmiłościwiej nam panującego Cesarza i Króla, właściciele rozległych terenów łowieckich w kraju, zapragnęli podzielać nasze prace nad rozwojem łowiectwa, będzie niewątpliwie zachęcającym przykładem dla członków i delegatów naszych do coraz gorliwszego działania, a zarazem przypomni tym zwolennikom łowiectwa w kraju, którzy dotąd nie znaleźli sposobności zapisać się w szeregi Towarzystwa, że branie udziału w sprawach i zabiegach tego Towarzystwa jest obowiązkiem każdego, któremu sprawa i rozwój łowiectwa w Galicyi zawsze na sercu leży.

Jeszcze słów kilka w sprawie strzału śrótowego.

Pisząc artykuł o strzale śrótowym wiedziałem dobrze, że poruszam kwestyę żywotną, która powinna wzbudzić ogólne zainteresowanie. To też korespondencya z Hawłowic, z dnia 23 grudnia 1901 nie była dla mnie niespodzianką, gdyż byłem na to przygotowany, że pogadanka moja wywołać może polemikę, na której sama sprawa tylko zyskać powinna.

Już na wstępie do mej pogadanki zaznaczyłem, że pracy mej nie przepisuję nieomylności, uważam jednakże za swój obowiązek bronić zdania, raz wypowiedzianego. Trudno to zwalczać tak poważnego adwersarza, lecz w imię sprawy, ogół myśliwych żywo obchodzącej, incipiam!

Otóż p. Żurowski nie zgadza się ze mną w dwóch punktach a to: 1) pod względem oceny kalibru; 2) w kwestyi przybitek.

ad 1) P. Żurowski występuje przeciw memu twierdzeniu, że kal. 16 jest najodpowiedniejszym. Zarzut ten odnosi się do słów „Muszę jednakże nadmienić, że kal. 16 odpowiada najwszechstronniej“. Widocznie niejasno się wyraziłem. Przez powyżej przytoczone zdanie chciałem wyrazić, że kal. 16 jako stojący mniej więcej po środku, nadaje się tak samo do polowania na ptaki, jakoteż do kniei wystarczyć może, a więc może mieć najwszechstronniejsze zastosowanie. Uwaga ta przeznaczoną była dla tych, którzy nie mogą posiadać kilku strzelb. Sądzę, że najlepszym dowodem wszechstronnej użyteczności kalibru 16 jest ta okoliczność, że go najczęściej u myśliwych spotykamy, zaś przy trzylufkach jest ogólnie przyjęty. Naturalnie, że kogo stać na to, będzie używał na ptactwo kal. 20, do kniei zaś kal. 12.

P. Żurowski przytacza następnie dowody, że kal. 12 przewyższa wydatnością strzału kal. 16.

Ależ ja temu wcale nie przeczę! owszem jestem tego samego zdania i gdyby p. Żurowski zechciał był zaczekać do ukończenia mej pogadanki w Nrze 1 *„Łowca“* r. 1902, byłby mi prawdopodobnie zarzutu powyższego wcale nie zrobił, gdyż w ciągu pogadanki kilkakrotnie wskazuję na wyższość kalibrów większych nad kalibrami mniejszymi.

ad 2) P. Żurowski występuje przeciw memu zdaniu o używaniu przybitek o jeden kaliber większych i twierdzi*) „przez tarcie większe w lufie siła się zwiększa, a nie słabnie wcale“.

Na to twierdzenie żadną miarą zgodzić się nie mogę i przeciwnie jestem tego zdania, że każde tarcie siłę zużywa, nie zaś wzmaga. Spróbuję dać na to dowód popularny. Otóż tracze tnąc deski w ręcznym tartaku, wbijają klin, skoro tylko piła na tyle się w klocu zagłębi, by to uskutecznić można. A pocóż oni to czynią? Czynią to na to, by usunąć tarcie bocznych powierzchni piły o kloc i ulżyć tym sposobem w pracy. Gdyby tarcie siłę zwiększało, dawnoby już wynaleziono *„perpetuum mobile“*, a właśnie tarcie największą jest ku temu przeszkodą. Wszyscy wynalazcy na polu broni palnej starają się wszelkimi sposobami usunąć tarcie, ale to jest niestety niewykonalne.

Dalej spotykamy się ze zdaniem**) „gdyby ktoś strzelił kulą mniejszą niż lufa sztućca, nie byłoby tarcia, ale strzał byłby i słaby i nie centrowny“. Tu muszę znów wyrazić me wręcz przeciwne zdanie, gdyż tarcie będzie i to ogromne, a strzał będzie silny i centrowny. Na dowód przytoczę, że był swego czasu w armii angielskiej w użyciu karabin, którego pocisk o tyle miał mniejszy przekrój od lufy, że wpuszczony do tejże swobodnie przelatywał, a pomimo to, przy strzale wrzynały się gwinty w pocisk, dając mu odpowiednie wirowanie.

W tym wypadku wyzyskano ściśnięcie w kierunku osi podłużnej (*Stauchung*) do zredukowania tarcia ad minimum, o tyle tylko, by gwinty nadały pociskowi wirowanie około osi podłużnej.

Jeżeli więc strzał jest w stanie długi pocisk, o mniejszym od lufy przekroju, o tyle ścisnąć, by chwytał gwinty, o ile więcej zostanie ściśniętą przybitka.

P. Żurowski nadmienia że doświadczył tego ze swą Nowotnówką, zaś jeden ze znajomoch ze strzelbą angielską, że po użyciu łusek 70 mm długich i przybitek o jeden kaliber większych, strzelby te znacznie lepiej strzelały. Ja te lepsze strzały pozwolę sobie uczynić zawisłe od wzmocnionych nabojów, nie zaś od większych przybitek. Znaną jest ogólnie rzeczą, że każda prawie strzelba innego wymaga naboju; n. p. ja strzelam z mej szestnastki z najlepszym skutkiem nabojem odpowiadającym kal. 20, inne zaś szestnastki znaczą naboje odpowiadające kal. 12. Do tychto ostatnich musiały należeć wymienione strzelby i wzmocnionym nabojom przypisaćby należało piorunujące działanie.

Używanie łusek 70 mm, a nawet 75 mm długich przeszło do nas z Anglii, ale tamtejsi wynalazcy i sportsmeni, dążąc wciąż do doskonałości, nie tylko te łuski zarzucili, lecz nawet używają łusek 52 mm, o czem w mej pogadance wspominam z podaniem przyczyn.

Pozostanę zatem przy mojem poprzedniem zdaniu o przybitkach, tem bardziej, że znajduje ono oparcie na drobiazgowo starannych badaniach p. Preussa, kierownika stacyi doświadczalnej w Neudamm, a więc fachowca kompetentnego.

Nie podzielam rownież zdania p. Żurowskiego o prochu bezdymnym, gdyż proch bezdymny daje stanowczo wyższą chyżość początkową, a więc i większą zdolność przebijania, ale i tu trzeba przez próby dojść do miary nabojów, odpowiadającej danej broni.

Pod względem sądu o prochu bezdymnym zgadzam się zupełnie z wywodami p. Remiszewskiego w Nrze 2 *„Łowca“* z r. 1899, gdyż moje doświadczenia podobne wykazały rezultaty z tą jednakże różnicą, że broń p. Remiszewskiego wymaga 2 7/10 gr., gdy ja strzelam dwoma tylko gr., ale używam też tylko 28 gr. śrótu.

Wziąwszy raz za pióro w tej sprawie, muszę jeszcze poruszyć jednę kwestyę, którą w pogadance pominąłem, a to kwestyę systemów. Co należy wybrać, czy system bezkurkowy (*hammerless*), czy też z kurkami?

*) *„Łowiec“*, z dnia 1 stycznia 1902 str. 9 — 31 i 32 wiersz z dołu.

**) *Łowiec* z dnia 1 stycznia 1902 str. 9 — 29 i 30 wiersz z dołu.

Jest to przedewszystkiem kwestya gustu. Strzał z obu systemów jest, przy zresztą jednakowych warunkach, zupełnie jednaki. Pewne okoliczności przemawiają jednakże za systemem bezkurkowym. Znane są wypadki, że myśliwy zaczepiał kurkami i broń wypalała, jak również zdarzało się, że myśliwy upadłszy uderzał kurkami w ziemię, co podobny pociągało za sobą skutek i idące za tem nieszczęścia. Broń bez kurków nie podlega tym, bądź co bądź, niemiłym niespodziankom.

M. R.

PECH.

Co to jest? Albo ja wiem? — „Pech“ jest „pech“ objaśni cię najczęściej wytrawny myśliwy, definicya bez wątpienia trafna, ale może za mało wyczerpująca, zamiast silić się na definicyę, lepiej objaśnić na przykładach. Bo ani to przetłumaczyć, ani jakim odpowiednim polskim wyrazem zastąpić i zdaje mi się, że chwalebne i oby skuteczne nawoływania p. Sołowija, aby z naszego słownika myśliwskiego wyrzucić wszelkie obce, a przedewszystkiem niemieckie wyrazy, bezsilne będą wobec tego króciutkiego i tak impertynencko obcego, a jednak tak zaaklimatyzowanego wyrazu „pech“. Nie posługiwać się nim wcale — niepodobna, oprą się temu myśliwi, bo ten nieuchwytny „pech“ będzie się zawsze wplatał w ich losy, jak długo będą mieli na co polować. Komuż bo z kolegów myśliwych on nieznany! Komuż się nie zdarza, że w dobrej kniei, na dobrych stanowiskach nie może nagonka jednego zająca na niego z miotu wycisnąć, podczas gdy sąsiad na prawo delektuje się w obłokach dymu, a na lewo zieje ogniem, jak szybkostrzelne działo Maxima. Czasem prześladuje nas „pech“ kilka razy z rzędu, specyalnie w pewnej kniei, czasem do jakiegoś gatunku zwierzyny. Bądź co bądź i „pech“ jest potrzebny, bez niego nie byłoby rozmaitości, nie byłoby tego wzruszającego oczekiwania, jakie będzie spotkanie, jakie strzelanie. Byle nie zanadto, bo to niezdrowo, jak tego dowodem niniejsza korespondencya, zrodzona, czy może poroniona właśnie wskutek „pechu“, czy nawet jakiegoś „nadpechu“, który przyplątał się do mnie od dwóch lat specyalnie na polowaniach w W., a dzięki któremu mam chwilowo więcej wolnego czasu niż pragnąłem i „by długie chwile skrócić“, przeżuwam swe wspomnienia myśliwskie, przelewając je równocześnie, wbrew zwyczajowi na papier.

Dla ocenienia wypadków, których byłem bohaterem, spróbuję pierwej przypatrzyć się chłodno i z możliwą bezstronnością sobie, jako myśliwemu. Poluję już dość dawno, niemal od dzieciństwa, lubię polowanie namiętnie, choć już nie w tym stopniu, co za młodzieńczych lat, nie odchodzę jednak od zmysłów na widok lada kopyry, strzelam spokojnie, ostrożnie, nie koncertowo, ale z niejaką pewnością siebie, dość gładko i równo, czasem trochę lepiej, czasem trochę gorzej, ogółem dość dobrze. Jeden z głównych warunków dla myśliwego, wzrok, muszę poprawiać szkłami i przy ich pomocy daleko mi wprawdzie jeszcze do tej bystrości wzroku, jaką podziwiam nieraz z zazdrością u niektórych myśliwych, na zwykłe jednak odległości widzę normalnie. Najwięcej jeszcze czuję ten brak przy spotkaniu z sarnami, zwłaszcza przy złem świetle, zdarza się więc, że rogacza nie poznam, lub poznam za późno, jeżeli już jednak odważę się strzelić, to jest to z pewnością rogacz, a nie koza. Otóż z tym zasobem wad i zalet myśliwskich proszony jestem z górą rok temu, przy końcu stycznia 1901, jak co roku na polowanie do śliczej kniei w W. i zaraz w pierwszym miocie staję się bohaterem dnia. Przedemną dość rzadki gruby las i opodal debra, śnieg miałki w załomach i na ścianach debry nawet głęboki, z góry pada gęstymi płatami. Na drugim brzegu debry, o dobrych 50 kroków ukazuje mi się na chwilę z poza drzew zając na sztych i spuszcza się w debrę w ten sposób, że widzę tylko jego grzbiet, tak, jakbym był ponad nim i patrzał z góry. Kryje mi się zaraz znowu za drzewo, składam się więc, aby go przywitać, skoro z za drzewa mi się ukaże. Ukazuje się istotnie, biorę go na cel, on w tej chwili zwraca na prawo, odsłaniając mi bok, jakby dla ułatwienia strzału. Ruch ten, choć patrzę tylko po lufie, działa jednak przecie na moje zasuggestyonowane komórki mózgowe, w których odbity jest obraz zająca i jego ruchów i jak błyskawica krzyżują mi się w mózgownicy dwie myśli, jakby dwa głosy. Jeden woła „co robisz warjacie, to nie zając“, a drugi: „ależ zając, widziałeś przecie, wal, bo ot zniknie ci za tym grubym bukiem, a potem w załomie debry“. Wszystko to trwa oczywiście jakąś część sekundy, równocześnie palec automatycznie już niemal ściąga cyngiel, pada strzał i rozciąga na śniegu... prawdziwą sarnę, niedużą ale i nie całkiem znowu małą, no i naturalnie nie rogacza.

Ziemio święta rozstąp się i połknij mnie razem ze strzelbą, nabojami i myśliwskiem krzesłem, zniweluj mię równo z czubkiem kapelusza i ukryj przed okiem towarzyszów. Nie uczyniła tego, plączę się więc po jej powierzchni w gronie myśliwych, aż do końca polowania. Jakie to już było dla mnie polowanie, nie potrzebuję mówić, zające strzelam apatycznie, źle do dużego rogacza, który o 20 kroków przedemną przeskakuje linijkę strzałową, a potem wolnym galopkiem szeroką linię



nawet się nie składam — „kiedy nie możesz“ — mówię sobie — „odróżnić sarny od zająca, jak możesz poznać, co rogacz, a co koza“, żaden poseł do parlamentu nie nagadał drugiemu tylu głupstw, co ja sobie tego dnia. Ten i ów miększego serca towarzysz pociesza mnie jak może, że gdzieś tam komuś także się to zdarzyło, byłem i ja sam raz świadkiem całkiem podobnego wypadku u dobrego myśliwego, ale słaba to pociecha, nie ma większego egoisty nad myśliwego, niech się zdarza komu chce, ale nie mnie.

Ostatecznie niemiły epizod zaciera się zwolna w pamięci i wraca powoli zaufanie w swe jakie takie kwalifikacye myśliwskie, bo istotnie, choć nic nie może strzału takiego usprawiedliwić, to przecie ukazała mi się ta koza w niezwykłych warunkach, skoro ja, bez kwestyi nie pierwszorzędny, ale bądź co bądź dość rutynowany i nie gorączkujący się myśliwy, mogłem ją wziąć za zająca. Korzystając więc z uprzejmego zaproszenia, wyruszam znowu w tym sezonie na doroczne polowanie do W. pewny siebie, że drugi raz podobnego głupstwa nie zrobię. Dzień piękny, towarzystwo miłe, przyjacielskie, gospodarz dzielnie dyryguje, spotkanie mam nadzwyczajne, strzelam dobrze, przyjemnie więc schodzi miot za miotem. Nareszcie w jednym z ostatnich miotów przechodzą na prawo odemnie przez linię dwie sztuki, obie kozy, po dobrej chwili znowu dwie, pierwsza koza, drugi najmniej o dobrych 8 kroków za nią, duży rogacz. Składam się, na linii już nie mam czasu strzelić, za linią kupka grubszych drzew, potem krzaczki, dość gęste, ale nie przedstawiające dla śrótu wielkiej zapory, tam więc chcę go strzelić. Skoro wskoczył w te krzaczki, staje, strzelam więc na jakie 40 kroków do stojącego na połeć, widząc przez krzaczki dobrze jego kontury. Kozy co prawda nie widzę, bo nie będę jej przecie szukał wzrokiem po krzakach, aby mi tymczasem rogacz uciekł, wystarcza mi, że nie ma jej w linii strzału, ani z tej ani z tamtej strony rogacza. Rogacz pada, po chwili zaczyna się dźwigać i podnosić, ponieważ więc zawsze dobijam rzucającego się rogacza, strzelam do niego drugi raz. Dym się rozchodzi, patrzę, rogacz leży prawie już bez ruchu, a równocześnie widzę, koza przeskakuje linię napowrót i wraca pędem w miot. Niezadługo wychodzi nagonka, myśliwi schodzą ze stanowisk, idę więc linią ku rogaczowi. Po drodze uderza mnie, że na tropach, gdzie sarny przechodziły tam i nazad linią, widzę farbę. Co to ma znaczyć? dałem przecie tylko te dwa strzały do tego rogacza za linią, skąd się bierze farba na linii? Ha, widocznie ktoś już strzelał do mego rogacza, choć na postrzelonego nie wyglądał. Wtem powiada ktoś ze sąsiadów, „ale bo jest i druga sztuka“ i rzeczywiście wynosi nagonka opodal kozę. A cóż za sto dyabłów, może o drzewo się zabiła? Gdzie tam, strzelona prawdziwym śrótem z lewej strony, podczas gdy rogacz strzelany z prawej — cóż się stało? „Pech“, nic więcej — po prostu koza stała gdzieś także w krzakach, po pierwszym strzale zamiast zmykać dalej w obranym kierunku, obróciła się i czy nie widząc może leżącego rogacza myślała, że się wrócił i chciała za nim gonić, czy nie wiem, co tam sobie myślała, dość, że zrobiła skok w chwili, mówiąc po polsku „*gnadenschuss*“ albo więcej elegancko „*coup de grâce*“ do rogacza i dostała jakąś część porcyi śrótu, dla rogacza przeznaczonej.

Tak jak zeszłoroczny wypadek całkiem mnie zdeprymował, tak teraz zaczyna mnie brać tak zwana „szewska pasya“, bo czuję, żem nic nie winien, że to już czysty, rafinowany „pech“, jak w książce stoi, ale ostatecznie drugi raz z rzędu zabijam tutaj kozę, jakże to wygląda. Klnę też w duchu biedną nieboszczkę, czego mi w strzał podłazi, ale do życia jej to nie przywraca, co z góry można było przewidzieć.

Po polowaniu i zbyteczna mówić, gościnnem, serdecznem przyjęciu u gospodarza — odjazd. Po północy, bo to kawał drogi, dobijam do domowego ogniska i wysiadam z wygodnego, o niskich stopniach tarantasa. Stawiam śmiało lewą nogę na znajomy mi teren, tymczasem prawa zaczepia mi się o baranicę, lewa, na której stoję całym swym ciężarem, zwiększonym o ciężar futra jednego i drugiego, pośliznguje mi się w jakieś nierówności terenu i gwałtownie się skręca, chwila gwałtownego bolu powyżej kostki, który przesłania mi ciemnością światło księżyca, zapalając mi natomiast świeczki w oczach, równocześnie odgłos trzasku jakby złamanego kija i leżę jak długi na ziemi. A niech cię dyabli wezmą, to już za gruby żart ze strony „pechu“ myślę sobie, wszak po prostu złamałem nogę, a tu jeszcze dwa śliczne polowania w sezonie. Grzebię się jednak po ziemi jak zając po skokach strzelony, nareszcie staję i konstatuję, że miałem jeszcze szczęście, chociaż niezupełne, tak zwane „polskie“, bo trzasła tylko cieńsza kość, ponad zewnętrzną kostką, grubsza zaś kość goleniowa ocalała, co mi dozwoliło mimo bolu, przy pewnym wysiłku woli dojść o własnych siłach na miejsce przeznaczenia, to znaczy do łóżka.

Leżę teraz lub siedzę w łóżku zagipsowany i mam nadzieję, że przy Boskiej pomocy i poczciwego doktora będę jeszcze zupełnie zdolny do służby myśliwskiej. „Nie tłuczże się już po polowaniach, a przynajmniej nie jedź już nigdy do W.“ mówią mi życzliwi znajomi niemyśliwi — „jedź“ mówi znowu życzliwy kolega — myśliwy, „tylko inną drogą“. Co tam będzie za rok, czas jeszcze o tem myśleć. Przedewszystkiem ja takiego pasażera, co dwa razy z rzędu kozę mi zabił, więcej bym nie prosił, czy winien on, czy jego pech, to mnie i moim kozom wszystko jedno. Dajmy na to jednak, że ja z nogą, co mam nadzieję, zupełnie „zreparowaną“ i w dobrem zdrowiu doczekam następnego sezonu kniejowego, a gospodarz kniei w W. powie sobie „niech go tam, do trzech razy sztuka, jeszcze raz spróbuję“ i zaprosi — mimo woli zadaje sobie człek pytanie, coby w takim wypadku zrobił, czy jechać, czy lepiej nie leźć w oczy tajemniczemu „pechowi“, który nie życzy sobie widocznie, abym jeździł na polowania do W. Głupstwo! powie może ktoś, przypadkowy zbieg niepowodzeń, jedź jeżeli cię zaproszą, tylko nie strzelaj zbyt pośpiesznie do zająca, który jest kozą, przejrzyj bacznie otoczenie rogacza, czy nie pcha ci się pod lufę koza i wysiadaj z wózka ostrożnie, statecznie, badając pierwej grunt laską. Tak, zapewne, na drugi raz już będę wiedział, ale czyż najprzezorniejszy człowiok jest w stanie zabezpieczyć się od rzeczy tak nieobliczalnej jak przypadek? A jeżeli ten przypadek spotyka cię, raz po razu, w zestawieniu z pewną właśnie miejscowością, to mimo woli ogarnia cię zabobonna jakaś obawa, czy nie siedzi tam jakieś licho, co już nie na twoją sławę myśliwską, ale wprost na twoją skórę czyha.

K. J.

Wspomnienia wyżła.

Dziad mój, o ile pamięcią sięgam, pochodził z Albionu, gdzie rasę moich antenatów możni lordowie protegowali. A nawet, jak twierdzą, sam lord major tą kwestyą żywo się interesował. Seterami nas nazwano, a dla odróżnienia i spotęgowania tej krwi szlachetnej przydomek „Gordon", nam dodano; dla znakomitych jednak aliansów i arcystarożytnego rodu, angielski parlament większością głosów, ba nawet jednogłośnie, postanowił dodać przed naszem nazwiskiem „Mac" czyli tytuł oznaczający szlachectwo. Mac Gordon zatem, nazwać się więc mieliśmy prawo, i gdyby nie wojna w Indyach i Transwaalu, gdyby nie różne zawikłania z rządem Krügera, cesarzowa Indyi niewątpliwie zatwierdzić byłaby musiała nasz tytuł, dokładnie odpowiadający niemieckiemu „Von". Aspiracye jednak moje osobiste, tak wysoko nie sięgały; skromny z natury, co jest zawsze cechą dobrego rodu, gardząc honorami i wszelkiego rodzaju tytułami przy praojców mianie „Gordon Setterem" zostałem. Możny pan jakiś, mówili ordynat, zabrał mnie do Polski, gdzie pierwsze miesiące mojej młodości spędziłem, a w stolicy, w Warszawie, pierwsze próby aportowania odbyłem, z ogólnem zadowoleniem, nowo przybranych opiekunów, i dobrze mi się działo, a na los skarżyć się nie mogłem. Lecz dziwne są wyżłów koleje. Przyjechał do Warszawy upoważniony poseł, od pewnego pana z Galicyi, człowiek zupełnie mi nie znany, mówiono, że Rusin, że Hryńko się nazywa, że z miejscości Gnojnica pochodzi i że ma podniebienie inne jak drudzy ludzie; to indywidyum, z manierami zupełnie dla Anglika obcemi, postanowił mnie gdzieś na Ruś wywieść, gdzie osiedlić się już na zawsze miałem. Z razu prostestowałem, że jednak psi los więcej od traktowania niż od miejscowości, którą zamieszkuje zależy, że z drugiej strony, Hryńko z Gnojnicy, przy pierwszem poznaniu bardzo mi się podobał, że zwietrzyłem w nim myśliwego, klnąc się na moją krew, przysiągłem mu wierność dozgonną; wiem że w Warszawie różne były pertraktacye przed moim wyjazdem, że płacono coś za mnie, że z pewną obawą i to w powozie odstawiano mnie na kolej, a może i mój Rusin myślał, że taka moda w Anglii, aby wiernym psom, obroże na szyję zakładać. lecz wszelkie obawy okazały się płonne, bo gdy Gordon Setter zaprzysiągł wierność, to święcie jej dotrzyma.

W Galicyi, nie wiem dlaczego? może dla licznych krachów, które na ówczas grasowały, Krachem mnie nazwano, a choć Anglik z rodu, lecz do nowej ojczyzny już po części nawykły, nazwę nową przyjąłem, sądząc, że słowo krach, coś znaczącego i poważnego stanowić musi, kiedy moje imię wszędzie i tak często na każdym kroku wspominano.

Do końca życia, wiernym byłem sługą mego pana, wszędzie złe i dobre losy z nim dzieliłem, podczas łowów pomagałem mu i współdziałałem zupełnie bezinteresownie, odnosząc łup za mojem pośrednictwem zdobyty, w nieskończonych ilościach bażantów, przepiórek, kuropatw i ptactwa błotnego, których nie tylko w Galicyi, ale Królestwie i Ks. Poznańskiem, domom, o które dbałem, dostarczałem. W licznych moich podróżach, obroża nie była już potrzebną. bo Gordon Setter był wszędzie, w największym nawet tłumie, wiernie przy nodze. Mój pan o mnie troszczyć się nie potrzebował, bo nie on mnie, ale ja jego pilnowałem. W zimie wiernie strzegłem na progu od złego człowieka i nigdy memu panu krzywdy zrobić nie pozwoliłem. Wreszcie jak zwykłe losów są koleje, wskutek starości kres mego życia nadchodził i czy to, że rasa wyżla powodzenia i uznania mi zazdrościła, czy też źli ludzie z tego świata zgładzić mnie pragnęli, dość, że w chwili, kiedy mój pan na na dłuższy czas odjechał, uczułem bole coraz dotkliwsze i piekące, a uczułem dokładnie, że kres mój się zbliża. Dopóki sił starczyło, wychodziłem na przeciw mego pana, wysłuchiwałem w bramie wjazdowej znanego mi turkotu karyolki, lecz dni mijały, choroba się zwiększała, a pomimo doktorów i niezwykłej opieki tych, co mnie otaczali, koniec mój bliski przewidywałem. Wreszcie z rezygnacyą i poddaniem się strzelcowi, mojemu opiekunowi. wzrokiem i żałośnym jękiem memu panu przypomnieć się poleciłem, a ufając w przyszłość jakiegoś Olimpu, w którym wierne sługi wynagrodzone zostaną — karyerę moją zakończyłem.

Oto moje zasługi i testament, które przekazuję szlachetnej rasie Gordon-Setterów.

Do ostatnich chwil mego żywota

przywiązany

Krach.

EPIZOD Z POLOWAŃ NA DZIKI.

Lat temu mniej więcej z piętnaście, po silnej i dobrej dla myśliwego zimie, to znaczy po zimie w śnieg obfitującej, początek marca zapowiadał wczesną wiosnę.

Już w pierwszych dniach tegoż miesiąca zima raptownie puściła, a ciepły wiosenny wiatr, deszcz i dogrzewające słońce sprawiły, że śniegi pokrywające ziemię w przeciągu dni kilku zupełnie stopniały i rozmarznięta ziemia pod działaniem prawdziwie wiosennego słońca i ciepłego wiatru podsychać już zaczynała.

Syt wrażeń po zimowych polowaniach, nabiwszy ładny poczet różnego rodzaju zwierzyny i skróciwszy życie kilku potężnym odyńcom przy pomocy doskonałych piesków moich, byłem pewnym, że już rachunek mój w tym sezonie z czarną zwierzyną zamknąłem, wyglądałem co wieczór, rychłoli nowe upragnione wiosenne długodzióby nadciągną. Około połowy marca z wieczora zaczął mżeć kapuśniaczek, który pod noc przemienił się w spokojnie i gęsto sypiące płaty śniegu. Jakkolwiek ziemia już zupełnie rozmarzła, to jednak śnieg tak gęsto sypał noc całą, iż gdy nad ranem sypać przestał, ziemia pokryta była po kolano wysokim śniegiem, mrozu zupełnie jednak nie było, była to za-

tem raczej piana wodna zamiast śniegu, tropić jednak za dzikami było można znakomicie.

Korzystając z tej ostatniej tego roku ponowy, rano, gdy tylko się rozwidniało, kazałem zaprządz do sanek i wziąwszy kochane a dzielne pieski, puściłem się w las w nadziei, że się gdzieś zdybię jeszcze z dzikami i że rachunek mój z nimi dotychczas jeszcze nie podsumowany, dziś dopiero podkreślę i podsumuję sumą, zwiększoną bodaj o jednego.

W miejscach, gdzie zwykle dziki zalegały, znalazłem je i dzisiaj i to w jednym miocie kilka sztuk razem, w trzecim z kolei miocie zaległ zaś pojedynek.

Mówić naturalnie nawet nie potrzeba, że przedewszystkiem chciałem się uporać z pojedynkiem, a to tem bardziej, iż trop tegoż pozwalał domyślać się wcale poważnego odyńca, a dopiero po załatwieniu z nim sprawy wziąć się do reszty. Aby nie robić hałasu, którego przy polowaniu z psami uniknąć się nie da i przez to nie wygonić z niedalekiego sąsiedztwa reszty dzików, postanowiłem pójść w legowisko bez psów, co się tem snadniej uskutecznić dawało, iż miot ten był na stoku góry, bez jarów zatem do podchodu łatwy, śnieg głęboki lecz miękki, był zupełnie sposobnym do podchodzenia, godzina wczesna bo 9-ta rano, a i rzadka drągowina bukowo-grabowo-brzozowa na dobry strzał dozwalała.

Miałem ze sobą dwóch gajowych, niestety! obydwóch niemyśliwych, na których myśliwską pomoc nie liczyć nie mogłem. Jeden z nich miał kapzlową dubeltówkę, drugiemu zaś, który nie miał swej broni, dałem jeszcze w domu mój pojedynczy sztuciec kapzlowy, stary wprawdzie bardzo, jednakże doskonale bijący. Sztuciec ten rano nabiłem świeżo naturalnie kulą, a miał on w kolbie szufladkę, w której były zapasowe kule i kapzle, proch zaś zapasowy w metalowych łuskach nabojowych, wojskowych schowałem do kieszeni swego kożuszka przez zapomnienie zamiast dać je gajowemu, tak iż gajowy mógł mieć jeden strzał tylko z nabitego sztućca, bo choć kule i kapzle miał w łożu sztućca, to proch ja miałem w kieszeni.

Znając teren dokładnie, wiedziałem, iż mniej więcej w środku tego miotu znajdowało się kilka wklęsłości ziemi, rodzaj lejków, pochodzących prawdopodobnie z wypłukania podglebia i że na brzegach tych właśnie wklęsłości obierały dziki zawsze miejsce na barłogi, wiedziałem, że w tym miocie są dwa pewne przesmyki dzików na dwóch przeciwległych liniach, a przy tych wiadomościach ułożyłem szybko plan kampanii i zostawiwszy konie i psy na linii przy tropie wchodowym, a poleciwszy gajowym stanąć na przesmykach, jakkolwiek nic zupełnie na nich nie liczyłem (choć gdy Pan Bóg dopuści to i z kija wypuści) i wyczekawszy czas jakiś, by ci na wskazane im miejsca zdążyli, opatrzyłem mą strzelbę i puściłem się po tropie w miot.

Dla wiadomości Szanownych Czytelników, nawiasem tu powiem, iż wyjeżdżając z domu wziąłem cztery tylko naboje z kulami, nie spodziewałem się bowiem, iż zajdzie potrzeba posiadania takich więcej, a nie mając gotowych nie chciałem robić, prócz tego wziąłem dwa naboje śrótowe Nr. 4. od wypadku. Jak przypuszczałem z góry tak też i było: dzik, piękny odyniec, zrobił sobie barłog na brzegu jednego z lejków, a leżał tak, iż tylko wąski pasek grzbietu z legowiska po nad śniegiem widać było. Idąc za tropem cicho i ostrożnie, podszedłem go leżącego i smacznie śpiącego a spostrzegłszy go nareszcie leżącego w odległości nie dalej jak piętnastu kroków od siebie, przystanąłem i złożywszy się chciałem strzelić w ten wąski pasek grzbietu po nad śniegiem widoczny, gdy jednak pasek ten czarny, zaledwo może dwa cale szerokości mający, przedstawiał przy złożeniu się zbyt wąski cel i ponieważ nie mogłem dobrze zmiarkować, gdzie jest początek, a gdzie koniec dzika, przeto nie strzeliłem lecz postanowiłem dzika zbudzić.

W pogotowiu do strzału, trzymając dzika na muszce, uderzyłem nogą w najbliższe siebie graby. W tejże chwili poruszył się dzik w legowisku i zbudzony z głębokiego widać snu, nie widząc groźnego dla siebie niebezpieczeństwa, strzepując uszami, począł powoli na przednie dźwigać się nogi. Gdy tylko pokazał mi przednią łopatkę, pocisnąłem cyngiel mierząc pod łopatkę — strzał huknął — nastąpił łomot i zostało mi tylko tyle czasu, by „fangszusem“ wypalić z drugiej lufy w zad dzika, który jak błyskawica między drzewami mi mignął.

Zdumiałem! Skamieniałem, przemieniłem się w słup z podziwu nad celnością mych strzałów!

Miałem oto dzika leżącego przed sobą na kroków piętnaście, wyraźnie mówię piętnaście, miałem czas na spokojne i dokładne celowanie, strzeliłem i to strzeliłem dwa razy, w rezultacie — dzik poszedł.

W kilka sekund ochłonąwszy ze zdumienia, dwoma susami stałem śród ciepłego jeszcze barłogu.

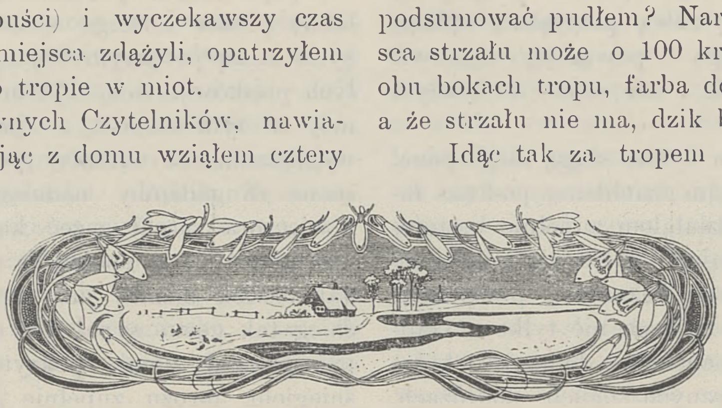
Nigdzie kropli farby! ni krztyny szczeci! spudłowałem czysto!

Tuż jednak i refleksya — wszak to niepodobna! choć pudło najlepszemu się zdarza, ja jednak ze zawodu pudlarzem nie jestem, mierzyłem bardzo dokładnie, spokojnie i ściągnąłem cyngiel, gdy na muszce najdokładniej miałem komorę, strzelba moja, do dziś ją używam, lankastrówka o gładkich wprawdzie lufach lecz na 80 kroków nie ustąpi najlepszemu ekspresowi, nie, to jeszcze raz, niepodobna! a więc za tropem!

Dzik poszedł w prostym kierunku na przesmyk, gdzie stał gajowy uzbrojony moim sztućcem, powinien był już na niego wypaść! strzału nie ma! dzik więc musi w miocie leżeć!

Uszedłem już kroków ze sześćdziesiąt a im dalej szedłem, tem bardziej traciłem nadzieję — nigdzie kropli farby! czyż mój rachunek mam tak obrzydliwem podsumować pudłem? Nareszcie! w odległości od miejsca strzału może o 100 kroków naraz obfita farba po obu bokach tropu, farba dobra, trafiłem więc w komorę a że strzału nie ma, dzik bezwątpienia leży.

Idąc tak za tropem wyszedłem na linię w tem właśnie miejscu, gdzie gajowemu stanąć poleciłem, ani jednak dzika ani gajowego nie zastałem, ślad jednak wskazywał, iż gajowy, który w tym miejscu stał rzeczywiście, poszedł



w trop za postrzałkiem w miot następny. Przy legły miot, w który poszedł postrzałek, dość przykro wspinał się w górę. Zgrzany, spocony i zmęczony, było bowiem zupełnie ciepło a ja w kożuszku i pilśniowych butach szedłem szybko za tropem, wypadłszy na linię zadąłem w trąbkę, by przywołać gajowych i jednego z nich posłać obcinać postrzałka, drugiemu zaś polecić sprowadzić pozostałe na linii przy saniach psy. W odpowiedzi na dany trąbką sygnał, słyszę wprost nad sobą w miocie, w który wszedł postrzałek, krzyk gajowego „panie, chodź pan prędko, dzik przedemną stoi!" Błyskawicą przeleciała mi przez głowę myśl, że gajowy widocznie strzelać się boi, huknąłem więc z pełnej piersi „strzelaj durniu!" i co tchu w piersiach, a siły w nogach począłem wspinać się w górę. Nie uszedłem jeszcze może trzydziestu kroków odległości, gdy usłyszałem wołanie gajowego „dzik wrócił się nazad na linię". Z góry na dół łatwo, w trzech lub czterech susach wypadam na linię i tuż spostrzegam w odległości 100 do 120 kroków wychodzącego zupełnie wolno dzika na linię, dzik najwidoczniej silnie pobity, zgarbiony, przechodzi linię wolno, słaniając się w oba boki. Odległość duża, lecz gdy nie może być krótszą, przyrzucam strzelbę do twarzy i spokojnie palę z jednej, następnie z drugiej lufy, dzik zaś przechodzi wolno przez linię, wchodzi w miot i najwyżej o 10 kroków od linii siada. Wiwat! nie podsumuję rachunków pudłem! Nie mam jednakże czem dzika dobić, cztery kule miałem, cztery razy strzeliłem, pozostały mi jeszcze dwa naboje śrótowe Nr. 4, lecz to cienki przecie za śrót na okazałego odyńca.

Szanowny czytelniku! jeśli się znudziłeś mojem opowiadaniem, to czytaj dalej, a niezawodnie się rozweselisz, dotąd bowiem było polowanie, odtąd się rozpoczyna heca, która mogła mieć wprawdzie smutne dla mnie następstwa, mimo tego jednak żałuję, iż pod ręką nie było żadnego amatora — fotografa, któryby zdjęciem zachował tak wspaniały obrazek ku pamięci i przestrogi zapamiętałych myśliwców. D. n.

Telli—nod.

Korespondencye.

Hawłowice, 13 lutego 1902.

W korespondencyi w ostatnim „*Łowcu*" opisał sąsiad mój i przyjaciel, S. Prek, zdarzenie z lisem, którego wygoniła pogonka ze stodoły, a Eustachy Wolski i ja chybiliśmy — fatalna rzecz, tym opisem zresztą prawdziwym, zbabrał nam reputacye dobrych strzelców, a choć w tej korespondencyi przyznaje, że dobrze strzelamy, mnie to nie pociesza, bo dobry strzelec to powinien jak Paganini zawsze dobrze grał, zawsze dobrze strzelać — przepadło, szarpnięta reputacya u strzelca i kobiety wyreperować się nie da, można jednak wrażenie zmniejszyć, o co i ja się staram.

Dnia 13-go lutego wychodzę do stodoły i widzę stąd lisa, który wszedł do innej z pięciu stodół i nie wyszedł, pogonka przegania stodołę, ale lis niewyskakuje, przypominam sobie, że zatkałem dziurę, którą lisy po pod trawą właziły pod pszenicę i to pod sasiek, w którym obecnie nie było więcej jak 25 kóp pszenicy, więc lis pewnie jest w dziurze, wołam chłopów, zbierają od ściany snopy, jest pod pszenicą dziura, odrzucają snopy odkrywając dziurę, odrzucili z 12 kóp pszenicy, nagle słyszę szalony krzyk „lis, lis, lis, idzie do pana". Miałem szaloną emocyę, lis wypada ze stodoły, skręca na konie, które z wozem stały, tak, że strzelać nie mogę, odegnany batem przez parobka na furze, skręca ku drugiej stodole, strzelam, z rozpędu myrdnął trzy koziołki i pcha się pod filar stodoły, dopadają ludzie, a ekonom — przemówiwszy do niego „oto masz za zjedzonych moich pięć kur", dobił go uderzeniem kija. O ile tym czynem wyreperowałem moją reputacyę osądźcie kochani koledzy myśliwi. Na Stefana Preka rzucam rodzaj klątwy, aby go nagniotki na sumieniu piekły w gorąco i zimno wyrzutami za wyrządzoną mnie ciężką krzywdę. Przyjaciel powinien rzucić czarną zasłonę na chybiony krok czy strzał swego przyjaciela a nie rozgłaszać całej Polsce, po której „*Łowiec*" się rozchodzi tak fatalnego wypadku.

Teofil Żurowski.

Wysuczka, 20. stycznia 1902.

Zima pożal się Boże, od rana do wieczora zagląda człowiek do barometra i termometra i ani daj Boże coś wywnioskować z tego, ucichł Falb ze swoją astronomią, ba i Ledochowskiemu teleskop widocznie nie dopisał, bo nic nie piszą i człowiek jak tabaka w rogu nie wie, co go czeka jutro, czy chlapawica i z wędką każe iść, czy zamieć i zawierucha i każe przy ciepłym kominie siedzieć i tęsknić za naszą dawną zimą, która gdzieś na Rivierę wyjechała, aby Francuzom i Włochom monotonię słoneczną popsuć. Jest co jest i inaczej tego nie można wytłumaczyć tylko, jak nasz lud sobie to tłumaczy, a mianowicie, że śnieg, przeznaczony dla nas, ktoś Panu Bogu z pod ręki ukradł i dlatego śniegu my nie mamy. Trzeba chyba w tych czasach wierzyć w to, a tymczasem czekać z chartami dobrego pola na lisa, lub chodzić z jamnikami po norach lisich. Biedny mój Bibi narobił sobie norą lisią; wlazł do niej, bo świeży ślad lisa poczuł, za nim skoczyła Kokietka, cięta suczyna i obracali lisa, który jednak nie wychylił nosa z jamy; po godzinie ujadania i biegania wychodzi Bibi z jamy z karkiem spuchniętym, chce napowrót włazić ale grubość karku nie pozwala, bolał nad tą niemocą, skomlał u wchodu do jamy, lecz pójść nie mógł i cały puchnąć zaczął, nim do domu zajechałem, wyglądał jak mops starego biurokraty, z którym codzień na piwo chodzi, ledwie się toczył; w tej chwili posłałem psa do weterynarza, który znalazł trzy znaki od ukąszenia na pysku, nie kazał nic przykładać, tylko cały korpus masować. Blisko 2 tygodnie masowało się psa i ledwie się pozbył tej otyłości i dzisiaj z całą dawną ochotą idzie do jamy i bawi się w żyda, rugującego właściciela z jego własnej siedziby.

Piękny był to widok jak mykita ucieka z własnej chałupy i ogląda się po za siebie, czy ten egzekutor nie

łapie za kitę, a jeszcze piękniejszy widok jest wtedy, gdy się w jamie zastanie raut lisi, zaręczyny w czasie cieczki, lub wesele, jak ta zgromadzona drużyna, jeden za drugim z jamy pomyka. Na dniu 22 b. m. pojechaliśmy z hr. Tyszkiewiczem do jamy tej, gdzie mego Bibka spotkała taka konfuzya, psy z ujadaniem skoczyły do jamy, ja stanąłem nad jamą, a hr. Tyszkiewicz z boku, ja z góry widzę łeb lisa, zmierzam się do strzału, głowa znikła napowrót w jamie, hr. Tyszkiewicz pokazuje mi palcami, że dwa lisy wyłaziły, cofnął się w tył i czekamy; w krótką chwilę wyskakuje lis i od strzału mego poległ, nim miałem czasu nabić strzelby, wyskakuje drugi i ten został na miejscu, w małą chwilę wysuwa się trzeci lis i pomyka w przeciwnym kierunku od tamtych, dwoma strzałami Tyszkiewicza trafiony, wybiegł na górę, mocno farbując, puściliśmy jamniki na trop i te doszły go na ścierni żyjącego, lecz mocno zestrzelanego. Zaczyna się szarpanina z psami, której nie broniliśmy, aby się psy rozjadały na nim, kiedy już dosyć jej było, lis dostał po nosie i zakończył romansowy swój żywot, a był to stary pies z głową i karkiem jak u wilka i tym sposobem do dnia dzisiejszego przez rok padło 44 lisów.

Ponieważ nie podałem dotychczas ilości zabitej u mnie zwierzyny w roku ubiegłym, przeto dla statystycznej wiadomości „*Łowca*“ podaję ją obecnie. Padło u mnie: 5 dzików, 44 lisów, 45 kozłów, 476 zajęcy, 46 słonek.

Kuropatw złapało się na przezimowanie i zabiło się do 120 sztuk.

Oprócz tego wybiło się bardzo wiele szkodników, mój syn sam zabił 65 sztuk psów, kotów, jastrzębi, bocianów, sów, wron i srok.

Czarkowski-Golejewski.

Dynów, 28. stycznia 1902.

Poranek dnia 21-go stycznia zapowiadał się nieobiecująco, śnieg z deszczem, błoto, jak cała tegoroczna zima. Z uczuciem nieufności wstawałem rano, jak też wypadnie nasza wyprawa łowiecka, na którą zaprosili nas młodszych i młodych myśliwych z okolicy dynowskiej hr. Ignacy Krasicki z dwoma synami Augustem i Ksawerym do kniei liskiej w górach sanockich.

Na trzech wozach poczwórnych zjechaliśmy się w Nozdrzcu u pp. Sewerynów Skrzyńskich, skąd w wesołych humorach podążyliśmy do Liska.

Na ganku zamkowym, dokąd przybylismy około 8 wieczorem, oczekiwał nas hr. Krasicki z synami i wprowadził nas przez stare krużganki i korytarze do jadalni, gdzie 9-cio milową podróżą zgłodniałe żołądki nasyciliśmy, a duch nasz upajał się widokiem urządzenia prastarego zamku, pochodzącego z XVIII stulecia, a każdy sprzęt, każdy drobny szczegół przypominał nam nieodżałowanej pamięci hr. Edmunda Krasickiego, tego nestora sanockiej ziemi i ojca jego Ksawerego hr. Krasickiego, którego wyprawy łowieckie opisane tak barwnie w dziełach Pola podsuwały nam myśl, jak maluczkimi myśliwymi my jesteśmy w obec takich Nemrodów, którzy z sieciami i psiarnią, oszczepem brali niedźwiedzie i dziki na sanockiem podhalu. Każdego z nas owiało uczucie niewypowiedzianie uroczystego nastroju, kiedyśmy sobie przypomnieli, że siedzimy przy tym samym kominku, przy którym Ksawery Krasicki opowiadał Wincentemu Polowi o swoim pobycie na kresach i Mohorcie, które to opowiadanie Pol później w „Rapsodzie rycerskim“ opisał.

Organizator polowania liskiego, młody hr. August Krasicki mówi nam po kolacyi: za jutrzejsze polowanie nie ręczę; w kniei tej od najdawniejszych czasów nikt z nagonką nie polował, las wysoki, knieja zimna — musicie się przygotować na to: może niejeden z was ani razu nie strzeli. Jakież było jednak nasze miłe rozczarowanie, kiedy po dwóch dniach polowania ujrzeliśmy na rozkładzie 40 zajęcy, 8 kozłów, 6 lisów i jarząbka, ale co ważniejsze można było widzieć, chociaż złożyć się do nich nie było wolno, wspaniałe jelenie, których w jednym miocie było aż czternaście.

Organizacya sprężysta całego polowania, barwnie umundurowana i dobrana z rosłych, pięknych ludzi straż leśna, z podziwu godną precyzyą chodząca nagonka pierwszy raz biorąca udział w polowaniu, widok patryarchów leśnych t. j. dwumetrowych jodeł, buków olbrzymów, obfitość niespodziewana zwierzyny, jelenie, prześliczna okolica nad Sanem, wieczorem gawędki przy kominku, to ciepło, ten humor, ta poczciwa stara serdeczna gościnność gospodarzy, wszystko zlewało się w całość tak rozkoszną, że z żalem odjeżdżając z Liska, wpraszaliśmy się sami gospodarzowi, ażeby, jeżeli da Bóg, na rok przyszły znowu zechciał nas powołać do rozległych kniei państwa liskiego. Kto znał liskie lasy przedtem, ten tylko ocenić może, jak wiele dokonali kierujący nimi hr. August Krasicki z nadleśniczym p. Ulanickim, których śmiało można postawić jako przykład, co może zdziałać umiejętna, wytrwała praca i energia. Niech mi będzie wolno na tem miejscu jeszcze raz podziękować hr. Ignacemu Krasickiemu i jego dwom synom za prawdziwą biesiadę łowiecką, jaką naszej drużynie myśliwskiej sprawili, niemniej za to gorące, gościnne przyjęcie, jakiego doznaliśmy w prastarych progach zamku liskiego.

Stefan Trzecieski.

Lwów, dnia 23. stycznia 1902.

Dnia 18 stycznia pośpieszyliśmy na zaproszenie radcy dworu Lanikiewicza do przepięknej kniei miżynieckiej, własności ks. Maryi Lubomirskiej, w powiecie przemyskim. Knieja ta ma ustaloną reputacyę, zwierzostan obfity, a polowanie zawsze prowadzone wzorowo, więc też dzień, w którym trąbka myśliwska wzywa nas do Miżyńca, zaliczam zawsze do najrozkoszniejszych chwil myśliwskiego karnawału.

Niestety pogoda — jak prawie zawsze w tym roku — i tu nam nie dopisała, odwilż zupełna, rano nawet deszczyk, później niemiły wicher... Ale wróćmy do kniei — tu nie było czasu na refleksye, tu życie wrzało w całej pełni, z fortów wokoło grzmiały wystrzały armatnie, ze stanowisk odpowiadały dwu i trzylufki, a choć śróty nie zawsze padały tam, gdzie były przeznaczone, (taka ich już natura) humory się rozweselały, a animusz łowiecki wzrastał. Zabawa dosięgła szczytu w słynnej „Maruszce“, gdzie sarn niezwykła mnogość; dużo tu było niespodzianek, bo na stanowiska środkowe, na które na pewno liczono, nic nie wyszło, natomiast około pagata, XII-ki etc. (do losowania sta-

nowisk używaliśmy kart tarokowych) roiło się od sarn, a najwięcej niestety wymknęło się w pole nieobstawioną flanką.

Ogólny rozkład zwierzyny ubitej w 14 strzelb przedstawia się następująco: 11 rogaczy, 33 zajęcy, i 1 lis. Mała stosunkowo ilość zajęcy tłumaczy się odwilżą, która szaraki wywabiła w pole, na ponowie padłaby ich setka.

We trzy dni później mniej liczne grono myśliwych (10 strzelb) polowało w Żurawicy, majątku ks. Sapiehy. I to knieja piękna, a odznacza się większą rozmaitością zwierza, bo i jarząbki się pojawiają i o spotkanie z lisem łatwiej, (nie krzywcie się zapamiętali wrogowie mykity!) Pogoda nieco lepsza, niż podczas polowania w Miżyńcu, termometr wskazywał 0... Wynik polowania: 6 rogaczy, 5 lisów, i 26 zajęcy.

O szczęśliwcach mówią zwykle chłopi „win szczoś znaje“, tak i ja powiem o moim szwagierku, bo wszystkie lisy za nim chodzą i tylko z nim chcą robić znajomość, za którą co prawda najczęściej płacą futrem! On coś wie...

L. Ł.

B a t i a t y c z e, 24. stycznia 1902.

Słońce świeci — i grzeje jak w maju, parkotnia się rozpoczęła, zające po kilka razem, widzi się na większych kawałkach oziminy, kto czekał a nie doczekał się ponówki, to niech się pociesza tem, że rok przyszły, choć on daleko, wynagrodzi mu zawód, podwójną ilością szaraków, choć w obec gadań naszych żydów, rok ten u nich ma dwa marce, a to zapowiedź ciężkiej zimy jeszcze i mrozów i śmierci pierwszego, wczesnego żuła zajęczego.

W okolicy polowań odbyło się mało. W sąsiednich Dzibołkach, rzutu miano tak pouczyć zwierzynę i pogonkę, by na myśliwych nie wychodziła, dalej polowanie w Wieczorkach, wzorowo prowadzone przez pana Bronisława Langa, gdzie zapolowano na bawołu w postaci dzikiej krowy, która przed dwoma laty kupiona przez żydka w Krystynopolu, prowadzona do rzeźni wyrwała się i prowadziła żywot, oczywiście dziki w lasach Butyn, Wieczorek, Porchacza. Wszelkie obławy były bezskuteczne, zapomniano o niej, tymczasem na polowaniu w Wieczorkach, w jednym z gęstych miotów spostrzeżono, pędzącą przed nagonką, dziką krowę, mimo celnego strzału p. Stelmacha przez komorę, krowa śmiertelnie ranna, poszła w galopie do Butyn, gdzie ją po kilku dniach znaleziono, ale już w rozkładzie, żydek właściciel zjawił się, ale krowa była trefna!!

Napisałbym, jeszcze coś o panach, co to nie mając n i g d z i e polowania, dla sportu strzelają, pomijam kozy, ale d z i ę c i o ł y i to kilkanaście sztuk dnia jednego, ale myślę, że skromna moja uwaga i słowa bajeczki, która mówi:

„Panowie — źle się bawicie,
„Wam to jest igraszką,
„Robactwo las toczy,
„Nam idzie o życie!

położy tamę tej niegodnej myśliwego zabawie.

Tadeusz Romanowski,
delegat żółkiewski.

Ł a ń c u t, dnia 1. lutego 1902.

Za czas od 1 stycznia 1901 do 31 stycznia 1802, ubito na polach ordynacyi łańcuckiej:
(polowań wielkich na zające nie było).

ZWIERZYNY POŻYTECZNEJ														
rogacze		zające	bażanty	kuropat.	przepiórki	chruściele	gołębie	kury karzełki	dubelty	kszyki	kaczki	słonki	różne	Razem
SZTUKI														
46		775	3567	998	107	92	1	7	43	109	99	2	1	5847

ZWIERZYNY SZKODLIWEJ														
	borsuki	lisy	psy	koty	kuny	tchórze	łaski	jastrzębie	krogulce	kruki	wrony i sroki			Razem
SZTUKI														
	9	63	233	348	3	92	94	156	145	8	2098			3249

Wł. Lewicki.

Szepetówka, dnia 17-go stycznia 1902.

Rezultat polowania w lasach szepetowieckich

dnia 14, 15, 16, 27, 28 i 29 stycznia 1902.

Nr. bieżący	Ilość dni	Obecni myśliwi	Miotów	Odyńców (Dzików)	Wycinków (Dzików)	Loch (Dzików)	Przelatków (Dzików)	Warchlaków (Dzików)	Razem	Rogaczy	Zajęcy	Wilków	Lisów	Jarząbków	Razem	Strzałów	UWAGA
			UBITO ZWIERZYNY — ILOŚĆ														
1	3	Książę Stanisław Lubomirski		2	—	—	—	—	2	—	1	—	—	1	4		
2	2	„ Paweł Sapieha		2	—	2	—	—	4	1	—	—	—	—	5		
3	3	„ Żdzisław Lubomirski		2	1	5	3	5	16	2	—	—	—	—	18		
4	2	„ Adam Lubomirski		1	—	—	—	—	1	3	—	—	—	—	4		
5	1	„ Hubert Lubomirski		1	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—	1		
6	3	Hrabia August Potocki		2	1	2	1	9	15	2	—	—	—	—	17		
7	3	„ Żdzisław Tarnowski		2	1	5	1	—	9	8	—	—	—	—	17		
8	3	„ Xawery Branicki		2	1	4	1	2	10	5	—	—	1	—	16		
9	3	„ August Zamoyski		4	—	—	—	1	5	—	—	—	1	—	6		
10	3	„ Tomasz Zamoyski		3	2	2	3	2	12	1	2	—	—	—	15		
11	3	„ Juliusz Tarnowski		1	—	—	1	1	3	—	1	—	—	—	4		
12	3	„ Floryan Zamoyski		1	1	1	—	—	3	2	—	—	—	—	5		
13	3	„ Józef Potocki		—	—	—	1	1	2	—	1	—	—	—	3		
		Ogółem . .	11	23	7	21	11	21	83	24	5	—	2	1	115	287	

W Łażewski

Hawłowice, 25. stycznia 1902.

Dnia 25-go stycznia polowaliśmy na polach ordynacyi łańcuckiej w 10 strzelb; w pięciu miotach zabiliśmy 92 zajęcy. Gdyśmy się zjechali, oświadczył chłop z pogonki, że jeżeli nie dostaną po koronie, to wracają do domu, więc i na polu łowiectwa streik, lecz ten się skończył niefortunnie dla inicyatora, bo go napędzono do domu, a reszta poszła gonić.

Dnia 20-go stycznia polowało Towarzystwo myśliwskie Dyana w Łańcucie, również w polach zginęło 95 zajęcy, deszczyk, na brak którego tej zimy skarzyć się nie można, zapędził nas wcześnie do domu. Podczas śniadania skryliśmy się przed wiatrem, pod tak zwany po polsku „kugelfänger" strzelnicy wojskowej i widzimy jak myśliwy ze strzelbą i psem idzie w mioty przedtem przez nas brane zapewne w nadziei, że się spotka z postrzelonymi zającami, tak był zamyślony, że nie widział jak strażnik polowania zaszedłszy mu od miasta za nim postępuje, dogoniwszy go zażądał strzelby i legitymacyi kto jest, tu się okazała gruba różnica zdań, a gdy słowami przekonać się nie mogli, schwycili się za gardła lewemi rękami, a prawemi rozmawiali się na migi, posłano strażnikowi na pomoc dwóch, ale nim przyszli już odebrał kłusownikowi strzelbę, podczas walki atakował pies strażnika szczekając zawzięcie. Strażnik też go zastrzelił, jeden ze straży, który przybył na pomoc poznał w kłusowniku rzeźnika z Łańcuta. Co się dzieje w innych okolicach, jeżeli w Łańcucie, gdzie wzorowy porządek, liczna straż leśna i polna, coś podobnego w biały dzień się zdarzyło! Potem się dziwią, że mało zwierzyny.

Dnia 21-go stycznia byłem na polowaniu u panów Rylskiego i Jabłońskiego w Malawie pod Rzeszowem, polowanie prowadził wzorowo Edmund Rylski, w strzelb 13 zabito w trzech polnych a jednym leśnym miocie 100 zajęcy i 3 rogacze, mówiono, że p. z Rudna zabił kuropatwę, wówczas jako delegat zarządziłem dochodzenie, a rezultat, że palumbarius niósł kuropatwę a strzelony upuścił nieuszkodzonego koguta, ale sam zdrów, choć nastraszony uciekł.

Pierwszy miot polny był bardzo ładny, była to kotlina z małym spadem, każdy widział jak 8 sarn i wiele zajęcy uwijało się w kole zamkniętem, zginął rogacz i 57 zajęcy, a dużo nasienników umknęło zdrowo poza koło, tak że mam nadzieję, że w roku przyszłym nie będzie ten miot gorszym. *Teofil Żurowski.*

U pana Tadeusza Cieńskiego w Pieniakach polowaliśmy trzy dni i to 31 stycznia, 1 lutego i 3-go przeważnie na dziki. Ponowa jak obstalowana po fatalnych dniach stycznia była bardzo miłą i pożądaną niespodzianką, dzięki jej też polowanie udało się prześlicznie. W ostatnich miotach strzelano do wszystkiego, a już w lutym tylko do rogaczy i lisów, stąd też cyfra innej zwierzyny skromnie się przedstawia, bo pierwszego dnia 14 zajęcy, a rogaczy w ogóle 9, lisów 5. Za to z dzikami udało się doskonale, bo zabiliśmy 10. W tych były 4 przelatki, 2 lochy i 4 odyńce, z których jeden paradny ważył 145 kilo. Jego Excelencya P. Namiestnik ubił dwie sztuki, jednę grubą lochę. Straż leśna tropiła wzorowo i z dokładną znajomością rzeczy, a codzienne ranne raporty o dzikach zgadzały się co do joty z rzeczywistością, polowanie prowadził gospodarz, jak zwykle po mistrzowsku. 1-go lutego dziki niegodne figle nam płatały, bo przez cały dzień upornie cofały się na nagonkę w każdym miocie, mimo tego, że ta po parę razy je odpierała. Pierwszy i trzeci dzień przyniósł po 5 dzików. Leopold hr. Starzeński zabił ogromną lochę, a pan Józef Cieński miał takie spotkanie, że proszono go aby sekret jego zdradził, czego jednak nie zrobił, a ubił cztery dziki, w tych dwa odyńce. 3-go wieczorem opuściła drużyna myśliwska pałac w Pieniakach, z żalem, że już po tej prawdziwej biesiadzie myśliwskiej, z wdzięcznością i nadzieją w sercu, że kiedyś tu znowu zawita.

Artur hr. Sumiński.

Z przyjemnością dowiedziałem się w Redakcyi „*Łowca*", że artykuł mój umieszczony w N-rze 3 „*Łowca*", zwrócił ogólną uwagę i pospieszam z wyjaśnieniem.

Adres firmy wyrabiającej mülleryt jest: „Müller & Comp. Act. Gesellschaft-Lüttich. 123 Bd. de la Sauvenire". W Niemczech można w każdym większym składzie amunicyi dostać müllerytu, czy można go dostać w Austryi, nie wiem!

Co się tyczy broni samoczynnej, to rzecz się ma następująco: Wszystkie przezemnie w N-rze 3-cim wymienione systemy są wyrabiane w formie pistoletów. Pistolet Browninga jest świetny do samoobrony, gdyż łatwiej go przy sobie mieć niż jakikolwiek rewolwer zaś do celów myśliwskich z wymienionych systemów, najmniej się nadaje. System Bergmanna jest w użyciu nietylko w formie pistoletu ale i w formie sztućca. System Mausera jest obecnie wyrabiany tylko w formie pistoletu, ale możnaby prawdopodobnie dostać jeszsze Mausery w formie sztućca. Pistolety Mausera i Borcharda są dotychczas w tym rodzaju broni nieprześcignione. Chyżość początkowa wynosi 400 metrów — donośność strzału 1000 m. siła przebijania 26—28 cm. drzewa sosnowego lub 3 cm. blachy stalowej.

Pistolety Mausera i Borcharda są tak zbudowane, że futerał przymocowany do rękojeści służy za kolbę i pozwala składać się jak ze sztućca.

Wszystkie wymienione systemy posiada Peterlongo w Insbruku, Szailer we Wiedniu i Nowotny w Pradze. U Peterlonga są te systemy znacznie tańsze aniżeli u Szailera, cen Nowotnego nie znam. Obecnie robią w kilku armiach próby z karabinami samoczynnymi, radziłbym więc Panom reflektującym na sztućce samoczynne, zaczekać nieco, aż próby doprowadzą do pozytywnych wyników a ja nie omieszkam zawiadomić o nich szanowych czytelników „*Łowca*".*) *M. R.*

Sprostowanie.

W numerze 3-cim „*Łowca*" na str. 35 wkradła się w wierszu 21 od góry pomyłka, mianowicie ma być: Towarzystwo im św. Huberta dzierzawi Turkę od r. 1895—1907 a nie jak wydrukowano do r. 1901.

---

*) Broń tę, o ile Redakcyi wiadomo, ma także na składzie p. A. Dzikowski.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

Leśnik z kilkuletnią praktyką, ukończoną szkołą dla c. k. leśniczych w Bolechowie i z egzaminem państwowym, poszukuje posady. — Łaskawe zgłoszenia uprasza nadsyłać pod adresem E. Ossowski, Krzywcza n. Sanem koło Przemyśla.

Do sprzedania dog czystej rasy roczny, bardzo ładny, duży, myszaty. — Zgłosić się N. N. Touste poste restante.

Poszukuje się kupna żywego puhacza. Zgłoszenia Administracya Łowca, Słowackiego 18.

W Łańcucie u łowczego Lewickiego są do sprzedania — 3 psy, 2 suki rasy krzyżowanej pointerów z rasą angielskich, roczne bardzo ładne i po bardzo dobrych rodzicach, z ukończoną tresurą domową. 1 suka 6-cio miesięczna seterka maści orzechowej tanio do sprzedania.

EMIL KUŹNICKI

FABRYKA

Papy dachowej, asfaltu, płyt izolacyjnych itp.

Oświęcim-dworzec

Filia: Lwów, Pasaż Hausmana l. 3.

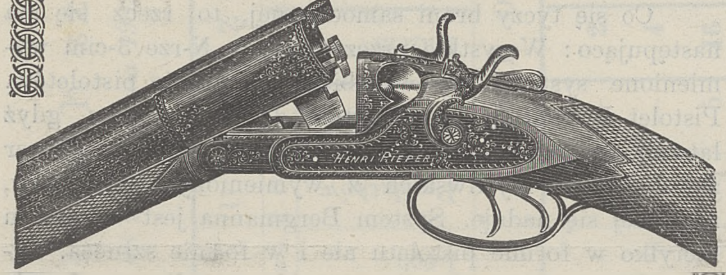
Przedsiębiorstwo robót asfaltowych i krycie dachów ogniotrwałą papą.

132—25—24

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ,

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Exprcsy, pojedyńcze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Skład win herbaty i rumu

PIOTRA MIKOLASCHA i Sp.

we Lwowie

poleca w najlepszych gatunkach

herbatę chińską i ceylońską

firmy C. Trau w Wiedniu

C. k. austr.

i ces. japońskiego nadwornego dostawcy

po cenach oryginalnych.

Herbata Congo Nr. 3 . . .	½ kilo K.	3.—
„ Souchong Nr. 4 .	„ „ „	3.—
„ Wysiewki Nr. 2 .	„ „ „	2·50
„ „ Nr. 1 .	„ „ „	3·50
Pecco Congo Nr. 1	„ „ „	4.—
Herbata kwiatowa przednia .	„ „ „	6.—
Sansinsky Nr. 1	„ „ „	7.50
Herbata Melange czarna wybrana dla kasyna Narodowego .	„ „ „	7.50
Herbata Moning Nr. 1 najprzedniejsza z nowego zbioru .	„ „ „	9.50

do nabycia w paczkach po ¼, ⅛, 1/16 Kilo.

Zamówienia od 20 K. franco i opłatnie.

W. SZADKOWSKI i S. KOPCZYŃSKI

ZA DOBOROWĄ BROŃ MEDAL SREBRNY.

Pracownia rusznikarska we Lwowie, ul. Batorego l. 20 Hotel Saski. Wyrabia i utrzymuje na składzie **wypróbowaną broń myśliwską wszelkich systemów** jakoteż **przerabia ze starych na najnowsze systemy.**

Zamówienia i reperacye w miejscu, jak i na prowincyi wykonywa szybko i starannie.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.